

Agata Miklaszewska

HUŚTAWKA

MONODRAM

– Nie był taki, bardzo się zmienił – powiedziała podobno jego pierwsza żona na rozwodzie.

A on powiedział, że to była egoistka, wariatka, zupełnie go nie rozumiała, i że nie ma o czym mówić, bo nawet jej nie pamięta.

W każdym razie, my zaczynaliśmy zupełnie inaczej. Chcieliśmy ułożyć sobie życie tak, żeby każde z nas było w tym związku szczęśliwe. Zeby razem było nam lepiej niż osobno, nawet gdybyśmy się nie kochali.

Poznałam go przy torach, jak podkładał pieniądze pod pociąg. Przechodziłam przez szyny idąc na plażę, a on zaczerwienił się i schował do kieszeni monetę. Od tego czasu wszędzie znajdowałam rozptaszczone monety. Na plaży, na parapecie okna, na schodach. Zbierałam wszystkie, bo było mi ich żal. Aż, któregoś dnia, spotkałam go znowu przy przejeździe.

– Wydałam już dziesięć złotych – powiedział. – Może teraz pani zaprosi mnie na kawę.

Oczywiście nie poszłam z nim na kawę, ale wieczorem znowu go spotkałam. Siedział przed moim domem, w ogródku dla dzieci, na huśtawce.

– Jak pani nie usiadzie naprzeciw, to nigdy nie polecę w powietrze – powiedział.

Do dziś nie wiem, dlaczego siadłam na tej huśtawce. Byłam cięższa, chociaż zupełnie na to nie wyglądało i on rzeczywiście polecał do góry.

Tak się zaczęło. Chodziły za nim jakieś obce dzieci, bo wymyślał im zabawy. Przebierali się, bawili w podchody, podkładali pieniądze pod pociąg. W kółko to samo. Te dzieci traktowały go jak dziecko. Nie miały żadnego dystansu, żadnego szacunku. Chłapały na niego wodą z kałuży, a on je wrzucał do strumienia.

To były bardzo zabawne wakacje. Ale potem wróciliśmy i wyszłam za niego za mąż.

Pierwsze dwa tygodnie były bardzo przyjemne. Chodziliśmy razem na spacer i do kawiarni. Czekałam, kiedy zaczniemy pracować. Miałam mu pomagać i dlatego odeszłam ze swojego biura.

Agata Miklaszewska, ur. 1950; współautorka (wraz z Maryną Miklaszewską) musicalu *Metro*. W *Dialogu* drukowaliśmy jej tekst pod tytułem *Kantora „teatr informel”* (nr 7/1978) oraz monodram *Choroba sieroca* (nr 1/1987).

Wreszcie zapowiedział, że bierze się do pracy i zaczął od porządków na stole. Na wszystko znalazł osobne miejsce. Na gumki, ołówki, pióra, spinacze. Rozstawiał je jak generał swoje pułki wojsk. Kilkakrotnie jeszcze zmieniał pozycje niektórych pudełek, aż stół zaczął przypominać ladę sklepu z narzędziami. Przedmioty czekały w pełnym pogotowiu.

Następnego dnia zamknął za sobą drzwi i wziął się do pracy. Nie minęło nawet pięć minut i drzwi się otworzyły.

– A może napiłbym się kawy? – powiedział, rozglądając się po kuchni.

Teraz już wiem, że jak zaczyna pracować, to nie da mi chwili spokoju. Widocznie ma nieciekawą pracę. Tłumaczy techniczne teksty. Wiem, bo odnoszę je co parę dni do redakcji. Na jego miejscu też bym szukała sposobu, żeby od tego uciec. Ale nie lubi, jak mu przeszkadzam. Jak mu nie przeszkadzam, też nie lubi.

– Co tu tak cicho? – pyta. – Myślałem, że coś się stało.

Tak trudno jest przewidzieć, co jest komu potrzebne. Bardzo chciałam, żeby mu było dobrze. Jakby mnie kiedyś pokochał, to bym dała sobie radę, na pewno.

Czasem trochę mi pomagał. Robił zakupy, ale przy okazji przynosił tyle różnych przedmiotów, że nie miałam nawet gdzie ich położyć. Potem chciał niektóre z nich sprzedać albo oddać, ale nie pozwalałam. Jak już coś jest w domu, to powinno zostać. Nie wolno tak wyrzucać. Jakby jego ktoś tak wyrzucił...

Kiedyś, pamiętam, kupił bardzo dużo jedzenia i postanowił zrobić przyjęcie. Zaprosił przez telefon co najmniej dwadzieścia osób i jeszcze przy każdej z rozmów żartował. Do mnie, jak dzwoni, to też mnie nabiera. Na przykład gdacze jak kura, tak zabawnie, że zawsze przez chwilę myślę, że to jakaś kura dzwoni. Albo po prostu udaje kogoś innego i też się nabieram.

Wtedy, każdy z tych gości jeszcze kogoś ze sobą przyprowadził. Dostałam pełno kwiatów, a on przedstawiał mnie tak zabawnie. Mówił: „To moja żona” albo czasem: „To moja ciocia”, na zmianę. Nikt nie wiedział, o co chodzi. Takie żarty.

Potem wszyscy bardzo dobrze się bawili. Rano nawet mnie przeproszał, ale niepotrzebnie, bo może rzeczywście pił przeze mnie. Przecież jakby nie miał powodu, to by nie pił. A teraz źle się czuje.

Po południu kupił mi kwiaty, a wieczorem poszliśmy na spacer. Tak jak dawniej. Blisko nas jest park i ogródek dla dzieci.

– W nocy jest dla dorosłych – powiedział i zamknął maleńką furtkę.

Ważyliśmy wtedy dokładnie tyle samo. Odbijaliśmy się od ziemi delikatnie, tak żebyśmy zawisnęli w powietrzu oboje na tej samej wysokości, nieruchomo. Wystarczyło się poruszyć i huśtawka opadała. Albo nawet zaśmiać. Ale kiedy się udało, to byliśmy jak na bezbłędnie wyważonej wadze. Nie mogłam długo tak wytrzymać bez ruchu. Wyobrażałam sobie, że mogliby go zobaczyć sąsiedzi i strasznie mnie to śmieszyło. A kiedy się śmiałam, huśtawka opadała.

Wróciliśmy do domu zziębnięci i brudni jak psy. Chyba o drugiej w nocy.

– Ale nas tato nakrzyczy – powiedział i tak mnie tym rozzmieszył, że na pewno zbudziłam sąsiadów.

Ten spacer dobrze się nie skończył. Już wieczorem powiedział, że na pewno zachoruje. Nawet nie dlatego, że zmarł na huśtawce, ale że chodził po domu bez butów. To prawda, że zwróciłam mu uwagę, że brudzi podłogi. Zresztą od razu tego załowałam, ale już było za późno. Zamiast włożyć kapcie, naumyślnie chodził boso.

– Proszę bardzo, mogę się zaziębić – powiedział. I poszedł do siebie, pracować.

Przeważnie ludzie żyją w poczuciu, że wisi nad nimi coś groźnego i zaraz spadnie. Ja też na to czekam. A przecież dużo robię, żeby go ochronić. Załatwiam jego spra-

wy, odbieram telefony, wszystko przechodzi przeze mnie, jak przez filtr. To prawda, że on jest trochę jak dziecko. Ten ciągły niepokój o niego. Niczego nie można być pewnym...

Tak bym chciała, żeby chociaż przez chwilę posiedział spokojnie. Żeby raz można było pomyśleć o czymś innym, a nie tylko o nim. Nawet mu to kiedyś powiedziałam, nie wiem dlaczego. Sama usłyszałam swój głos. A on mi na to odpowiedział:

– Zrób herbatę.

Do dziś nie wiem, czy mnie usłyszał, czy nie. Może mi się wydawało. Może w ogóle nie powiedziałam tego głośno. Takie głupstwa czasem przychodzą do głowy. Jak ktoś tego słucha, to straszne.

Często, jak o czymś myślę, tracę poczucie czasu. Może minęło półgodziny, a może dużo więcej. Zajrzałam do jego pokoju. Siedział w fotelu, z zamkniętymi oczami, chyba drzemał.

Wysłałam cichutko, żeby go nie budzić i włączyłam u siebie telewizor bez dźwięku. I tak nie ma nic ważnego, wystarczy, że popatrzę. I siadłam. Ale tak jakoś nieuważnie, że złożyło się podę mną krzesło. Jak stało, tak upadło, a ja razem z nim. Jakoś się podniosłam i znów siadłam, a ono, jak na złość – łup! Na ziemię. Jeszcze nawet nie zdążyłam wstać, a on wleciał do pokoju, jakby wcale nie spał, i jak trzasnął tym krzesłem o podłogę!... I wypadł. Jak jakiś diabeł, tylko drzwi za nim trzasnęły. Bez słowa. A przed chwilą spał.

Zezłościłam się i przykleiłam wszystkim krzesłom gumowe podkładki. Nie będą się ślizgać i rysować podłóg. Teraz tak śmiesznie wyglądają, jakby były w pantoflach. Przynajmniej nie szurają, tak jak on tymi swoimi kapciami.

Cały dzień się nie odzywałam. Wszystko robiłam sama. Nie był mi do niczego potrzebny. On zresztą też nic nie mówił. Udawał, że nic się nie stało i że pracuje. Pewnie bał się, że jeżeli raz mnie przeprosi, będzie musiał przeproszać za byle głupstwo przez całe życie.

A jak nigdy mnie nie przeprosi? Przecież, jeżeli teraz tego nie zrobi, to będzie myślał, że nie trzeba. Może nawet już tak myśli?

Zawiązałam sobie palec bandażem, żeby widział, że coś mi się stało. Ale nic nie pomogło, nie przeproszał. Dałam jeszcze większy bandaż, ale ciągle udawał, że nie rozumie.

A jeżeli skaleczyłam się naprawdę? A jeżeli przestanę go kochać? – tak myślałam, a wtedy on wszedł do pokoju, siadł spokojnie obok mnie i włączył telewizor. Nagle popatrzył na mnie.

– A tobie co się stało w paluszek? – zapytał. I nie czekając na odpowiedź, poszedł do kuchni po orzeszki.

Tak siedzieliśmy razem. On wpatrzony w ekran, a ja w niego, żeby zwrócić na siebie uwagę. Na jego twarzy widać było, na co patrzy, jak na twarzy dziecka. Niczego nie udawał. Oglądał tylko film i nic poza tym nie istniało. Potem popatrzył na mnie i będę ja, potem zje kolację i będzie jadł, potem weźmie gazetę i będzie czytał. Trzeba go lubić takim, jaki jest. W końcu to dobrze, że wiem, czego się spodziewać. Właściwie umiem z nim postępować. Wiem, kiedy nie trzeba mu przeszkadzać, wiem, kiedy ma ochotę na spacer i czego nie zechce zjeść. Można powiedzieć, że go znam.

Kiedyś, pamiętam, zrobiłam mu taki dowcip, jak on mnie. Wracając do domu z zakupami, nacisnęłam dzwonek i kucnęłam pod drzwiami. On otworzył i aż krzyknął,



Agata Miklaszewska

bo patrzył przed siebie, a ja byłam gdzieś na wysokości jego kolan. Potem śmialiśmy się oboje, ale on miał taki rozczarowany wyraz oczu. Chyba nie lubi moich żartów.

Co drugi dzień albo raz na trzy dni odnosiłam jego tłumaczenia do redakcji. Dawniej prosił mnie, żebym przed oddaniem wszystko czytała i zaznaczała błędy. Czasem odruchowo robi się jakiś błąd, kiedy się tłumaczy. Teraz prosi mnie o to bardzo rzadko, ale dzisiaj chciał, żebym sprawdziła numery stron. Bał się, że może jakiejś brakuje.

Był jeszcze w łazience, bardzo się śpieszył i wołał, że jest już spóźniony, więc żebym szybko kończyła przeglądać te kopie. I wtedy nagle, pomiędzy kartkami, zobaczyłam wydarty z zeszytu kawałek papieru. Jego charakterem pisma, bez żadnych wątpliwości, jego piórem było napisane: „...Na szafirowym niebie, ławice złotych gwiazd...”

Matko święta... Nogi się pode mną ugięły, jakby były z waty. Myślałam, że tylko tak się mówi, a to prawda. Bałam się na nich stać. Jeszcze chwila i on wyjdzie z łazienki... Schować tę kartkę czy zostawić na stole? Zobaczy, że czytałam... Lepiej schować, ale jak już schowam, to będzie szukał... I co? Pomyśli, że wzięłam... I nie będzie wiedział, co zrobić, tak samo jak ja... Boże, po co ja to znalazłam... O czym on myśli?

Jeżeli intuicja mnie zawodzi, to trzeba pomyśleć taktycznie. Może popełniam jakiś błąd? Dlaczego ukrywa coś przede mną? Czy to znaczy, że się nie rozumiemy? Że na rozprawie powie: Zona mnie nie rozumie? Przecież ja nic o tym nie wiedziałam. A on nie próbował mi opowiedzieć. Nigdy nawet nie rozmawialiśmy na takie tematy.

Może myśli, że jestem za głupia, żeby go zrozumieć. Ma mnie za idiotkę... A ja? Z kim ja właściwie jestem? Jakbym wiedziała, że jest taki wrażliwy, jakbym szukała kogoś takiego, to ożeniłabym się z kobietą.

Teraz rozumiem, co mówiła sąsiadka.

– Ten pani mąż to chyba Morsem nadaje – powiedziała.

Okazało się, że w nocy, jak już śpię, u niego w pokoju gaśnie i zapala się światło. Rozumiem, że gasi, ale dlaczego zapala? Co miałam jej powiedzieć? Że pracuje? Tak to oboje utoniemy...

Wreszcie zasnęłam i śniło mi się ciasto, które wylazło z miski. Trzymałam je rękami, kolanami i głową, ale ono wypelzało i nie było sposobu, żeby je zatrzymać, chociaż jednocześnie miałam je w ręku.

Trzeba wziąć większą miskę, zanim będzie za późno – pomyślałam i ta myśl plątała mi się po głowie, kiedy już się zbudziłam.

Leżałam i patrzyłam przed siebie. Wszystko jedno, na co. Myślałam o praniu albo czymś takim. Jak będą wywozić śmieci, to wyrzucę stare gazety. Zrobię pranie, a potem będę zamiatać. Posprzątam kuchnię i pokój...

Dlaczego z jego pokoju nic nie słychać? Może wyszedł?

Wstałam z łóżka. W mieszkaniu było zupełnie cicho. Jeżeli nawet wejdę do jego pokoju, to co mu powiem? Że po co właściwie wszedłam? Prać? Przecież tam nie ma pralki. Może go jakoś wywołać? Zadzwoń dzwonkiem?

Albo zamknę się w łazience, a w kuchni nastawię wodę. Czajnik będzie gwizdał, on tego nie wytrzyma i przyjdzie wyłączyć gaz.

Zapaliłam kuchenkę, postawiłam czajnik i poszłam do łazienki. Ale w łazience był on. Czytał gazetę. Albo palił.

Jakby go nie było w domu, to miałabym spokojny ranek. Kawa, bułeczka z miodem... A tak, na pewno coś się zaraz stanie. Jakie ja mam właściwie życie? Jestem szczęśliwa, kiedy sama jem śniadanie. Przecież ja nie mam nikogo na świecie, komu bym była potrzebna...

Cały ranek miałam takie myśli. On wyszedł do pracy i nawet na mnie nie spojrział. Nigdy nie przypuszczałam, że będzie mi samej siebie tak żal.

I wtedy właśnie zadzwoniła sąsiadka z dołu. Przyniosła białego pieska, szczeniaka, żeby spytać, czy go nie weźmiemy.

Powiedziałam jej, że tylko na próbę, ale tak naprawdę to od razu chciałam go zatrzymać na zawsze. Została chwilę na kawie i opowiadała, że urodziło jej się dziecko, a jej suce szczeniaczki i teraz jej mąż chce się wyprowadzić. Mają już dwoje dzieci, a on jest muzykiem i nie może pracować w takich warunkach.

Opowiadała mi to wszystko i płakała. Mówiła, że taką muzykę, jak jej męża, to można grać nawet w ogrodzie zoologicznym. Tego się nawet nie da zaśpiewać, ani zapamiętać. I w tym dzieci mu przeszkadzają, bo musi mieć ciszę, żeby się skupić.

Oddała mi tego pieska i pocałowała mnie. Twarz miała całą moką od łez. Jak będzie miała kiedyś chwilę czasu, to wpadnie. Tak to powiedziała, jakby już nigdy w życiu nie miała mieć wolnego czasu.

Moje życie będzie na pewno takie samo... Może on ma rację, kiedy mówi, że swój los trzeba wziąć w swoje ręce.

A ja nie chcę. Przecież i tak coś na mnie spadnie.

Podobno to, jak żyję i z kim, zależy ode mnie. A ja przecież nawet nie wiem, czy on jest w domu, czy nie. Zamyka się w swoim pokoju i w ogóle z niego nie wychodzi. A kiedy wychodzi, to myślę tylko o tym, kiedy wróci, i czekam, czasami nawet przy oknie. Jak widzę, że idzie, to chowam się i udaję, że coś robiłam. A przecież mogłam to robić cały czas.

Jak dzisiaj znowu wyszedł bez pożegnania, postanowiłam, że z tym skończę. Przystanę o nim myśleć i zacznę postępować jak mężczyzna.

Przed wszystkim ułożyłam sobie w kuchni najbardziej potrzebne rzeczy pod ręką. Wygodnie. Każdy przedmiot musi mieć swoje stałe miejsce.

To czywiste, że noże powinny być po prawej stronie deski do krojenia, że pedał otwierający śmietnik musi też być po prawej, bo nie umiem otwierać go lewą nogą, że garnki i patelnie muszą być blisko piecyka, a talerze jak najbliżej stołu.

To było proste. Po paru godzinach kuchnia była przygotowana do pracy. Wszystko czekało. Jeszcze zostały tylko śmieci do wyniesienia.

I oczywiście z nimi nie zdażyłam. Z kubłem w ręku zderzyłam się z nim w drzwiach. A on powiedział:

– Daj, wyniosę.

Wróciłam do kuchni i czekałam. Kątem oka widziałam, jak położył kubel na miejsce i umył ręce. Rozejrzał się. Szmata do wycierania rąk wisiła spokojnie na haczyku, po prawej stronie zlewu, ale jej nie zauważył. Poszedł do swojego pokoju, trzymając ręce w górę i starannie wytarł je w pościel.

Potem wrócił do kuchni.

– Pięknie tu posprzątane – powiedział i objął mnie.

Zupełnie nie rozumiał, że to było posprzątane przeciw niemu. Zresztą ja też od razu się przytuliłam, ze strachu, że on się rozmyśli i znowu się zacznie.

Ale on obejmował mnie dalej, pocałował we włosy i w czoło, a potem wziął w ręce moją twarz, jakbym była dzieckiem i przez chwilę uważnie na mnie patrzył.

Nie wiedziałam, o co mu chodzi, ale byłam taka szczęśliwa.

Poszliśmy na spacer. Zapadł zmierzch i w parku było pusto.

– Pohuśtamy się? – spytał, chociaż już siedział na huśtawce, utrzymując równowagę, żebym mogła usiąść.

Siadłam, a on podniósł nogi i poleciał do góry. Uśmiechał się i patrzył na mnie, w dół, a ja kołysałam huśtawkę, odpychając się od ziemi, i wtedy pomyślałam, że musi mi ufać, bo przecież gdybym wstała, to spadłby jak kamień.

Było już późno, ale nie mogłam zasnąć. Myślałam, że teraz już będzie zupełnie inaczej. Będę zawsze uśmiechnięta i miła. A on będzie dobry.

Kiedy wreszcie zasnęłam, śniło mi się, że bawimy się w chowanego, a ja schowałam się najlepiej. Widziałam, jak on łapie wszystkich po kolei, i tylko ja siedzę bezpiecznie w mojej kryjówce. Nie wiadomo dlaczego, nie mógł mnie znaleźć. Wyjrzałam ostrożnie i zobaczyłam, że oni wcale już się nie bawią. Znudziło im się. Ktoś nawet wołał, że jeszcze mnie brakuje, ale wszyscy już dawno grali w co innego. Mój mąż biegł pierwszy i usłyszałam, jak powiedział:

– Zostawcie ją, ona sama się znajdzie.

Mimo to rano czułam się lepiej. Może tylko tak mi się wydaje, że wszyscy są lepsi ode mnie. Wyglądają na lepszych, ale w środku pewnie wcale nie są. Niepotrzebnie sądzę ich po wyglądzie. Sama nie lubię, jak się na mnie patrzy. Kiedy wychodzę z domu, muszę zebrać tyle odwagi, jakbym szła na wojnę.

Kiedyś pokłóciłam się z mamą, bo powiedziała, że ja całe życie trzymam się jej spódniczki. Obraziłam się i wyjechałam. I wtedy go poznałam.

Ile razy zrobię coś przeciwko sobie, to dobrze na tym wychodzę.

I właśnie będę chodziła sama do kina, do teatru, na koncerty, a dziś pójdę na wystawę. Jak chce, niech za mną idzie. A jak nie chce, to nie szkodzi.

I poszłam. Jak już raz poszłam, to trafiłam na wystawę, na którą chcieli pójść wszyscy. Kolejka po bilety na pół godziny stania. I w środku taki tłum, że prawie nie widać. Sprzedali za dużo na raz biletów. Tłum poruszał się tylko w jedną stronę i to był kierunek zwiedzania. Dreptaliśmy przed siebie, aż w końcu pokazał się pierwszy obraz.

Nikt nawet nie zauważył, że jestem sama, tak wszyscy byli stłoczeni. Ważnych obrazów było niewiele. Część jest podobno na stałe w naszym muzeum, a reszta przyjechała tylko na krótko. Bardzo ładne, kolorowe i takie plamiaste, jakby z samych kropek.

Jak to powolne przesuwanie się skończyło i wszyscy rozeszli się po innych salach, siadłam na ławce i trzy razy przeczytałam nazwiska wszystkich malarzy. A potem powtórzyłam je, bez patrzenia. Jak już przyszłam, to niech przynajmniej coś z tego zostanie.

Wróciłam do domu i opowiedziałam mu o wystawie, obrazach i kolorowych plamkach. Wcale się nie zdziwił. Powiedział tylko, że trzeba było dalej stanać.

– Wtedy zobaczyłabyś, co jest namalowane, a nie jak – powiedział.

Nawet nie spytał, dlaczego poszłam sama, dlaczego kupiłam bilet i obejrzałam to wszystko. Nie interesowało go. Za to wiedział, że źle widziałam. I co najgorsze, to była prawda, bo kiedy siedziałam w muzeum na tej ławce, to z daleka dostrzegłam jeden z obrazów. I na nim był dom, drzewa, jakieś zwierzęta, czego przedtem wcale nie zauważyłam. Byłam za blisko.

Jak zwykle miał rację, i chociaż było już za późno, pomyślałam, że mu o tym powiem.

Wchodzę, a tam na stole, tuż przed nim pali się świeca. I nakopcone, jak w kościele. On siedzi nad kartką papieru, ale zupełnie pustą. Ani słowa na niej nie ma. A na uszach ma słuchawki, jak wariat...

Przez chwilę nawet myślałam, że to już koniec. Bo po co zapalił te świece? Ale widzę, że oddycha i trzyma się prosto na krześle, więc podeszłam i delikatnie położyłam mu rękę na ramieniu...

O, matko, co się wtedy stało!... Nie widziałam jeszcze, żeby ktoś tak wysoko podskoczył, a potem spadł zawadzając o krzesło, które złożyło się jak harmonijka, a kabel od słuchawek podciął świecę. Czarno się zrobiło jak w grobie, i tylko ta muzyka, gdzieś z podłogi... naprawdę myślałam, że umieramy i jak zaczęłam krzyczeć! Aż się

sama zdziwiłam, że tak głośno, i na to wszystko wpadł pies. Ledwo wypłatałam się z tej kotłowniny i jak już zamknęłam drzwi do łazienki, to myślałam, że dostanę ataku serca.

No i on się wtedy obraził. Ale jak...

To było straszne. Cisza w domu, aż w uszach piszczy. Do jego pokoju drzwi zamknięte. Nie wiadomo, czy można wchodzić, czy nie. Czy chce, żebym weszła, czy chce być sam. Siedziałam i myślałam, i nic nie przychodziło mi do głowy. Wreszcie postanowiłam robić to, co zawsze. Może sam się zlituje...

Przygotowałam rano śniadanie, dokładnie takie samo jak w niedzielę, chociaż to był piątek. Na tacy, razem z gazetami.

Nie wiedziałam, czy z tym wejść, czy zapukać i czekać aż otworzy? A może zostać na podłodze, pod drzwiami? Kawa stygła... Wreszcie postanowiłam zapukać, szybko położyć tacę i uciec do łazienki, zanim on wyjdzie z pokoju. I zapukałam. Ale z tego wszystkiego, zamiast położyć tacę na ziemi i uciec, to kucnęłam razem z tacą. Jakbym się tego śniadania trzymała. W kucki, pod drzwiami, z tacą, jak zaczarowana. Chciałam wstać, ale nie umiałam, chociaż słyszałam, że szura krzesłem. W ostatniej chwili puściłam to przekłete śniadanie i uciekłam. A już wtedy był za drzwiami, jeszcze sekunda i byłoby za późno...

Strach pomyśleć, jak by się obraził. Pokłóciliśmy się, a ja sobie robię żarty, jak dawniej. Bo na to by wyszło.

Pomyślałam sobie wtedy, że rzeczywiście trudno ze mną żyć. Niby dużo robię, niby pomagam, pracuję, a nagle taki zgrzyt. Coś takiego dziwnego ze mną się dzieje i wszystko psuje. A przecież można próbować się zmienić. Trochę przynajmniej nad sobą popracować. Nie tylko nad innymi. Gdyby każdy pilnował siebie, nie trzeba by było pilnować innych. To także mnie dotyczy.

A jeżeli chodzi o niego, to na pewno w końcu zauważy, że się staram i wtedy mi wybaczy. Musi sam się przekonać, że w domu dzięki mnie wszystko działa bez zakłóceń, jak w zegarku.

Teraz dni były podobne do siebie.

Rano szłam na zakupy z psem, a po powrocie robiłam śniadanie. Pies jadł ze mną w kuchni, a jemu zostawiałam na tacy, pod drzwiami do pokoju. Dwa puknięcia, po chwili otwierał.

Tak mi było przykro. Kiedy wychodził z pokoju, to mijał mnie, jak powietrze. Bez słowa. Może na coś czekał? Ale na co? Nic mi nie przychodziło do głowy. Nawet, któregoś wieczoru, stałam pod jego drzwiami i już prawie miałam wejść. Ale z czym? A jeżeli nie chce? Przecież jakby chciał, to by sam wyszedł. Bo to, że ja chcę, to wiadomo. Przecież jestem kobietą.

Najtrudniej było wstać z łóżka. Znowu cały dzień przede mną. Leżałam i myślałam o czymkolwiek. Na przykład o praniu.

Zawsze rano mam taką czarną pustkę w głowie, jakbym wyraźnie czuła ten czarny kolor. Trzeba znowu zrobić pranie...

Ten wyraz „pranie” płatał się, wracał i znów oddalał. Sam wyraz. Z trudem przypominałam sobie, co oznacza. Dlaczego człowiek nie myśli całymi zdaniem, tylko takimi plamkami słów...

Zrobię znowu porządek, a potem zobaczymy. Albo wychowam psa. Od czegoś trzeba zacząć. Na przykład, żeby przychodził na zawołanie, siadał, leżał, dawał łapę. Wczoraj go tego uczyłam.

– Daj łapę – brałam jego łapę i dawałam mu ciastko. – Daj łapę – i znowu ciastko. Cały dzień tak spędziłam i pod wieczór on nagle dał łapę. Sam dał łapę! Pies...

Teraz już wiem, że wszystkiego można nauczyć, jak się ma cierpliwość i jest się konsekwentnym. Ale przede wszystkim trzeba wiedzieć, czego się chce. Trzeba wyznaczyć sobie cel i ułożyć wszystko po kolei tak, żeby go osiągnąć. Nie może, przez głupią kłótnię, rozpadać się całe moje życie. Nie mogę opierać się na kimś, kogo co chwile, bez powodu ponoszą nerwy. Pies jest dla mnie, a nie ja dla psa. Muszę o tym pamiętać.

Zawsze poznawałam, w jakim jest humorze, po grze na skrzypcach.

Kiedy był mały, mama męczyła go lekcjami muzyki, aż wreszcie zrozumiała, że jest niezdolny i przestała. I on właśnie wtedy te skrzypce polubił. Jak chciał jej dokuć, to grał. Tak mi przynajmniej opowiadał.

A ja, zamiast mówić, że uwielbiam, jak gra, wymyśliłam, że jest taki przesąd, że granie na skrzypcach w domu przynosi pecha. Ale się musiał ucieszyć. No i zaczęło się. Teraz grał codziennie. Nawet trzy razy dziennie. I zawsze wtedy, kiedy mi to przeszkadzało.

Nie wiem, dlaczego nie rozumiem muzyki. Może nie umiem jej słuchać?

Czasem, za ścianą, mąż tej sąsiadki, która dała mi psa, uczy grać swojego synka. Takich łatwych rzeczy, bo chłopczyk ma dopiero trzy lata. U nas wszystko słychać przez cienkie ściany. Teraz też grają razem na pianinie, że niby wilk goni owce.

– Dum, dum, dum... idzie wilk.

– Pi, pi, pi... uciekają owieczki.

– Dum, dum, dum...

– Pi, pi, pi...

Jak się zbudziłam, to mały grał owieczki na całego. Wilka nie było w ogóle. Pewnie poszedł do pracy.

Ciekawe, co by było, gdyby każdy grał tak, jak chce. Do tego nie na fortepianie, tylko na perkusji albo na jakiejś trąbie. A co, nie wolno? Waliliby w talerze albo w bębny. To nawet nie chodzi o mnie, ale co z maleńkimi dziećmi, które w dzień śpią, albo co z chorymi, którzy chcą odpocząć? Ktoś chyba powinien w takim dużym domu zadbać o ich spokój?

Postanowiłam wieczorem albo jeszcze lepiej w nocy, tak, żeby nikt mnie nie widział, wywiesić kartkę na dole, przy wejściu.

Napisałam: „Cisza nocna obowiązuje od 21-ej”. I podpisałam: „Administrator budynku”.

Nikt tego nie zdał.

Więc po dwóch tygodniach dodałam: „Jeżdżenie windą po 22-ej zabronione. Administrator”.

Przecież dzieci o tej porze już nie jeżdżą, starsi ludzie też nie, a on, jak tak późno wraca, to niech idzie piechotą, razem z tym drugim pijakiem. Inni lokatorzy też będą zadowoleni, że winda nie łomocze wieczorami.

I nie łomotała. Wszyscy się podporządkowali, nawet pijak chodził schodami. Tylko nie on.

Jedyna winda, która jechała wieczorem, przywoziła jego. Nigdy się nie pomyliłam. I jedyny instrument, jaki grał wieczorem, to były jego skrzypce. Nawet sąsiad z orkiestry nie grał o tej porze.

Im większa była cisza w domu, tym bardziej było go słychać. Ludzie są widocznie bardzo cierpliwi, bo nie wierzę, żeby to denerwowało tylko mnie.

Gdyby przynajmniej nie było tych przerw, tej ciszy, kiedy mu w słuchawkach grała jakaś orkiestra, a on czekał na wejście skrzypiec, czyli jego. W tej ciszy wszystko wylaływało mi z rąk, a musiałam coś robić, żeby nie zwariować.

Pierwszy poleciał gamek. Mój ukochany biały gamek, któremu od razu obtukło się dno. Myślałam, że się rozplącę, ale jakoś ten łoskot mnie uspokoił. Może to hałas uspokaja, a nie cisza? Może dlatego on jest taki spokojny?

Nawet ładnie zadzwieczał ten gamek. Jak dzwon. A właściwie, jak oddalające się dzwony, bo nie mógł się zatrzymać. Zamknęłam oczy, a on dzwieczał i to przywołało jakieś wspomnienie, jakbym już gdzieś to słyszała.

Uderzyłam ostrożnie jeszcze raz, żeby sobie przypomnieć, a gamek prawie zagrał. Zupełnie inaczej emaliowanym brzegiem niż odłupanym. Ale dalej nie wiedziałam, skąd to znam. Przykrywką z kolei brzęczała w nieskończoność, jak małe dzwoneczki.

Dlaczego właściwie nie miałabym raz się pobawić? I tak wszyscy są w pracy i nikt mnie nie widzi.

Najlepszy był cynowy gamuszek i patelnia. Na zmianę, raz jeden, raz drugi, wypadały fantastycznie.

Siadłam na ziemi i żeby mieć wolne ręce, włożyłam sobie dwa garnki na stopy. W ten sposób miałam trzy garnki, patelnię i przykrywkę. Już prawie nie było słychać uderzeń. Wszystko zlewało się w jeden dźwięk dzwonów albo cymbałów...

– Co ty robisz? – usłyszałam nad głową.

Garnki posypały się jeden za drugim, a ostatni ledwo wytrzepał się z mojej nogi i dołączył do przykrywki, która grała sama na podłodze.

Patrzył na mnie z takim przerażeniem, że wystraszyłam się, że mnie rozśmieszysz. Przecież miał być w słuchawkach...

Teraz to już koniec. Uzna, że ja po prostu zwariowałam. Wariata sądzi się po objawach, a nie po tym, co on sam o sobie myśli. Było mi już wszystko jedno. Sama nie wiedziałam, o co mi chodzi. Łzy ciekły mi po policzkach, a on obejmował mnie dokładnie tak, jak obejmuje się chorego psychicznie, żeby powoli się uspokoił.

Ale objęcie nie trwało długo. Puścił mnie i zobaczyłam, że to on czuje się winny. Miał minę winnego. Był zaniepokojony i czułam, że muszę powiedzieć, co mi jest, by nie pomyślał, że tylko zwariowałam. Z kolei, jeśli teraz powiem jakieś głupstwo, może je złapać jednym kłapnięciem, jak foka rybę i stracić dla mnie natychmiast jakiegokolwiek zainteresowanie. Sprawa zostanie wytłumaczona, nie będzie o czym mówić i koniec.

– Kobieta musi sobie czasem popłakać – powiedział sam do siebie.

Nie rozumiał, że wcale nie jestem kobietą. Że nie mam nawet nic wspólnego z kobietą. Że nienawidzę kobiet, nie chcę być kobietą i nigdy nie będę. Że jestem w ogóle kimś, tylko wtedy, kiedy on na mnie patrzy. A jak nie patrzy, to nie ma mnie. Nie istnieje. Więc, jeżeli teraz on znowu o mnie źle myśli, to mnie to nie dotyczy. Nie ma mnie tutaj. Niech sobie szuka kogo innego.

Ale on znowu mnie obejmował, jakby czekał, aż się z nim oswoję.

Pewnie chciał pójść na spacer, żeby znowu wszystko było jak dawniej, a ja zastanawiałam się, jaką cenę za to wyznaczyć.

Powiedziałam w końcu, że jestem zmęczona, zdenerwowana i rozczarowana, a on obiecał, że będzie wyrzucał śmieci i chodził na spacer z psem.

Wcale nie chciałam, żeby chodził z psem, ale wiedziałam, że to się samo ułoży.

I poszliśmy do parku na huśtawki.

Sąsiedzi na pewno widzieli, że wychodzimy razem. Wzięłam go pod rękę, a on się uśmiechnął.

Park, na szczęście, był całkiem pusty. On siadł pierwszy i wyprostował nogi, żeby drugi koniec huśtawki opadł, i żebym też mogła usiąść.

Więc siadłam, ale huśtawka wcale nie przeważała. Przeciwnie, on opadł, a ja uniosłam się do góry. Wisiałam w powietrzu, a on siedział przy ziemi. Byłam lżejsza. To dobrze czy źle? Wszystko się odwróciło...

Nie wiedziałam, co powiedzieć, ale on dalej się uśmiechał, jakby nic się nie stało. Patrzył w górę, a ja nie mogłam nic zrobić, żeby opaść w dół. Pokazałam mu rękami, że nic na to nie mogę poradzić.

I wtedy ruszyłam. Huśtawka nie miała żadnej poprzeczki. Między nim a mną była tylko śliska deska, po której, przez ten głupi gest rąk, zjeżdżałam prosto na niego...

Przywaliłam go sobą, jak wielka góra. Zepchnęłam na ziemię i nie mogłam wstać. On zresztą też.

Wróciłam do domu, milcząc. Nie wiedziałam, czy gniewa się na mnie, czy może to ja powinnam się obrazić. Wszystko zależy od pierwszego słowa. Czekałam, aż sam zacznie. Chyba rozumie, jak bardzo mi wstyd. Wgniotłam go w ziemię i jeszcze mam przepraszać. To on powinien powiedzieć, że nic się nie stało. Przecież może sobie wyobrazić, jak mi przykro.

Tymczasem on grał. Spokojnie grał jakąś melodię.

A może on o niczym nie myśli? Albo myśli, tylko nie o mnie? O czymś tam, o czym sobie gra. Nie robi nic złego. Grzecznie gra w swoim pokoju, i ja też powinnam się zająć swoimi sprawami, zamiast chodzić po kuchni tam i z powrotem, jakby nie było nic lepszego do roboty.

Zerwałam z kalendarza wczorajszy dzień i przepisałam to, czego nie zdążyłam zrobić, na jutro. Potem rozpisałam zajęcia na cały tydzień. Codziennie dwie, trzy rzeczy do zrobienia.

A on pisał albo grał za ścianą, co mu przychodziło do głowy. Improwizował, a ja prałam, gotowałam i załatwiałam to, co było zaplanowane. Wieczorem zdzierałam kartkę z kalendarza.

Zapisywałam teraz wszystko. O której mam wstać, o której się położyć, do kogo zadzwonić. Kalendarz miał wydrukowane godziny wschodów i zachodów słońca i zależnie od tego układałam sobie dzień. Czasem nastawiałam budzik przed wschodem słońca, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście o tej porze wstaje. Wstawało punktualnie.

W mieście trochę trudniej sprawdzić zachód, bo palą się światła. Ale w końcu ktoś to oblicza i to daje jakąś pewność. Można by tak zaplanować całe życie. Coś na pewno by się nie zgadzało, ale przynajmniej byłby jakiś bilans planów i dokonań. Jakis program zapisany od początku do końca, bez improwizacji.

Gdyby wszyscy ludzie żyli tak, jak gra prawdziwa orkiestra, byłoby dużo lepiej. Każdy miałby swoje własne nuty, ale wszyscy graliby razem. Wychodziłaby z tego piękna, wspólna muzyka i Bóg na pewno byłby zadowolony. Świat zmierzałby do celu. Przecież nawet to, że ktoś raz tylko uderzy w talerze, może być zapisane w nutach i mieć swój sens.

Blues zza ściany... Gra jak Murzyn.

Podobno Murzyni tak grali z tęsknoty za wolnością. Nie buntowali się, tylko uspokajali taką smutną muzyką, która wszystko łagodzi. Nawet trzaskanie drzwi, klucze obracane w zamkach, hałas windy i głosy za ścianą.

Przecież naprawdę to winda łomocze, dzieci wrzeszczą, śmieci lecą rurą do zsy-pu... Straszny hałas dużej kamienicy.

Ale z dystansu i razem z muzyką może wszystko słyszeć trochę inaczej?...

Przecież nawet my dwoje, kiedy spojrzeć z daleka, wydajemy się inni. Żyjemy razem, mamy wspólne mieszkanie, wprowadziliśmy trochę za małe, ale może to dlatego, że oboje zawsze tłoczemy się w kuchni. Gdybyśmy równiej rozłożyli się w tym mieszkaniu, to każdemu z nas wystarczyłoby miejsca.

Ja robiłam się za gruba, on schudł, ale przecież oboje razem ważymy tyle, co dawniej.

Rano zbudziłam się w fotelu, w ubraniu. Nawet nie dałam mu kolacji. Pies spał, przytulony, i grzał mnie. Postanowiłam zabrać psa do mamy, spędzić tam miły wieczór i wypaść się jak dawniej. Wrócę następnego dnia i spróbuję wszystko zacząć od nowa.

Powiedziałam mu o tym planie, a on nawet się ucieszył.

– To ci dobrze robi – powiedział.

I rzeczywiście. Mama była zachwycona psem i upiekliśmy razem sernik. Spałam na moim starym łóżku, a ona wstała wcześniej i zrobiła śniadanie.

Wróciłam do domu koło południa i on miło mnie przywitał.

Wszystko było posprzątane, a na stole stał wazon z kwiatami. Kupił kwiaty na moje przywitanie.

– Przecież nigdy tego nie robiłeś – powiedziałam, a on się roześmiał i powiedział, że nie miał okazji, bo nigdy przedtem nie wychodziłam na noc.

I poszedł pracować, a ja wróciłam do kuchni, gdzie wszystko było posprzątane. Umył nawet naczynia.

Umył naczynia... Przecież nigdy tego nie robił.

Może posprzątał, bo nie chciał, żebym wiedziała, kto tu był? Ze strachu?

I jeszcze sam mi proponował, żebym wyszła. Może nawet nie sam, ale za to jak się ucieszył, kiedy to wymyśliłam.

Wzięłam psa... Dom pusty, jak w prezencie.

Weszłam do jego pokoju, ale nic nie powiedziałam. A on nawet się nie obejrzał, pewnie nie chciał pokazać twarzy.

Wieczorem zamknęłam mieszkanie i wyszłam do parku. Zabrałam ze sobą proszki na sen i połknęłam je, zanim usiadłam na huśtawce.

Był ciepły, spokojny wieczór. Huśtawka opadła na ziemię. Zasnęłam.

Śniła mi się kobieta, podobna do mnie, ale ładna. Wcale mnie nie widziała. Jakby nie wiedziała, że w ogóle istnieję.

Siedziała przy stole. Przy moim własnym stole, w moim własnym domu i przytulała mojego psa. Jak u siebie.

Huśtawka zakotłosała się i ruszyła w górę.

Jej mąż, to znaczy on, pracował w swoim pokoju, a ona, w kuchni, zajmowała się domem. Nie mieli dziecka, ale pewnie kiedyś będą mieli. Chodzili na spacer do parku, mówili „dzień dobry” sąsiadom, ona miała przyjaciółkę i białego psa, a on czasami grał na skrzypcach.

Huśtawka podnosiła się coraz wyżej.

Sąsiad też grał, i dziecko. Nawet ładnie to brzmiało z daleka. Jego skrzypce, wilk, owieczki, garnki i winda, wszystko wokół dopełniało się, składało ze sobą, jakby w muzykę. Wszystko współbrzmiało.

Widziałam to teraz z góry. I z góry wyglądało pięknie.